



„Wesele” na scenie Teatru im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie. Stańczyk — Grzegorz Galiński, Dziennikarz — Franciszek Buratowski.

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA

„ALE PIĘKNIE SIĘ ODBYWO”

Kusząca sztuka, to „Wesele”. Ilek tam podtekstów, niuansów, symboli; ile uświęconych tradycją i plotką sytuacji; ile historii, którą można i chyba trzeba komentować w zgodzie z naszym widzeniem świata! A sama poezja: raz mroczna i urokliwa, z młodopolskim smuteczkiem u ramion, to swobodnie wybuchająca najczystsza sarmacka wesołość; stała się odmierną rytmem niezwykłym, muzycznym, wrażliwym, ironicznym. Taka sztuka, gdzie zbyt dużo różnorodnego piękna, nosi sama w sobie przewrotną chęć do interpretowania i nieustannych poszukiwań, a to wiedzą prostą ścieżką do chwały lub upadku. Ominąć tę ścieżkę można tylko rezygnacją z poszukiwań, co prawie zawsze prowadzi do nudy lub nic dodając, nie ujmując, z pietyzmem dla poety odszukać najbliższą mu wizję i jemu oddać głos, z niewielkim, lecz koniecznym retuszem historycznym. Lubie te ostatnie przedstawienia; są rzetelne i bliskie pierwowzorom, co dla miłośnika literatury ma ogromny sens.

I takie chyba było przedstawienie jubileuszowe „Wesela” Wyspiańskiego w Teatrze im. Wandy Siemaszkowej, reżyserowane na jego 20-lecie przez Stefana Wintera. Mówiąc „chyba takie”, świadomie unikam jednoznaczności w na pewno niejednoznacznym zinterpretowaniu „Wesela” przez Wintera, mimo jego oczywistej wierności i pietyzmu dla Wyspiańskiego.

Moje zakochanie się w „Weselu” i fascynacja epoką, jaka je wydała, nie są już młode i jakoś nie sposób mi inaczej widzieć tę sztukę jak w zespoleniu z całą krasą anegdotyczną przełomu dwóch wieków, kiedy snuły się po Krakowie echa przyby-

szewszczyzny, obcej wprawdzie Wyspiańskiemu, ale nie bez wpływu na klimat środowiska, w jakim się obracał on i jemu współcześni. Chłopotomania, pójście w lud, czy jak to mówił za Rousseau Rachel „powrót do natury”, mogły zrodzić się tylko w epoce egzaltacji młodopolskiej, pianej (dosłownie także) możliwością wprowadzenia w czyn nowych koncepcji socjologicznych, mającej wyzucie przyszłych zmian politycznych w świecie i bliskiej dziejowej przemianie, która w efekcie dałaby wolność. Ten „górny ton” raz podchwycyony serio, w innym, co bardziej przenikliwym umyśle rozważany chłodno, nierzadko ironicznie jest dominantą nastrojów krakowskiej arystokracji artystycznej, z dzielnie sekundującym Czasem na czele.

Z nastrojów „chwili osobliwej”, przewidywań czynu, niemożności zrozumienia, na czym ów czyn ma polegać, ze swoistego oportunizmu czy konformizmu środowiska i wreszcie prawdziwej wiary — z jednej strony, a bajecznie kolorowego i feerycznego zjawiska weselnego korowodu, ciągnącego przez Karmelicką i Rynek ku Kościółowi Mariackiemu — z drugiej, zrodziła się ta „duża wesołość narodowa”, „jakaś historia wesela, a ogromnie przez to smutna”, gdzie wśród zdrowej kpiny smęci się z cicha zaduma ironiczna nad jej sensem oraz sensem historii w ogóle.

Jak w tych warunkach może nie kusić reżysera ujednolicenie wymowy dramatu?

Zwłaszcza dziś, po 63 latach, dzielących nas od prapremiery krakowskiej, w czasie których tylu mistrzów reżyserii próbowało narzucić „Weselu” własne doświadczenia sceniczne, nie zapominając przecież o własnym stosunku do sztuki i własnym czytaniu licznych aluzji i znaczeń. To pewnie dobrze, że obrócił ten dramat w historię teatralnych inscenizacji, choć drobniagowe doszukiwanie się utajonych znaczeń często prowadziło do zagubienia przenikliwości samego autora, a przede wszystkim gineła w tych rozrachunkach reżyserów nieskrępowana swoboda weselska z wigorem, hucznego i humorystycznego. Najwyraźniej może protestuje przeciw tym zabiegom Boy-Zeleński, twierdząc że „Wesele” zrodziło się z faktu autentycznego, że Wyspiański był przecież także jego uczestnikiem, a choć się nie bawił, lecz obserwował, to i tak najpierw słyszeć musiał ten ludowochwacki ton, a później dopiero przysły inne refleksje. Pisze to w końcu człowiek — największy koneser epoki, bo z niej wyrosły, bo współ-

czesny Wyspiańskiemu, bo bez jego „Plotki o Weselu” nie sposób byłoby dziś je grać.

„My som swoi”, „sami swoi” — często, a może zbyt często padają te słowa na weselu. Kto wie, czy właśnie w nich nie tkwi największa ironia tego weselnego zbratania? Czy nie z nich wywodzi się drapieżność spojrzenia Wyspiańskiego? Przecież mimo że zapewnienia tam są dwa odrębne światy i myślę, że właśnie Winterowi udało się tak poprowadzić spektakl, że te dwa światy nie są razem, lecz o b o k siebie, że może nie jest aż tak źle, że są sobie wrogie, ale czy nie gorzej od wrogości w tej konkretnej sytuacji jest ogólne niezrozumienie? Ta odrobina pogardy dla chłopów, jaką zaprawiona jest prawie każda kwestia Poety, Dziennikarza czy Gospodarza, który zresztą zajmuje w tym galimatiasie postaw zupełnie odrębne stanowisko (o czym za chwilę), z góry sugeruje fiasko jakiegokolwiek braterstwa w obliczu czynu.

Nienaumyślnie wymieniam tu trzy postacie; w końcu to one są tym przysłowiowym spiritus movens całej sztuki i w nich by szukać najpierw wypadła koncepcji przedstawienia. Najciekawiej z nich wypada w rzeszowskim przedstawieniu rola Gospodarza, którą gra Stefan Winter. Najciekawiej, bo odbiega może najbardziej od przeszłych wzorów; znika gdzieś dobroduszy facecjonista, typ Sarmaty — przywódca, niedyskretny prowodyr wyjechał w lud, słowem malarz Włodzimierz Tetmajer. Gospodarz Wintera, to człowiek zniechęcony, zsmutniały, jakiś inteligent zagubiony, który przez przypadek ubrał sukmanę i czuje cudaczność tego stroju, tak jak prawdopodobnie czułby całą niestosowność wystąpienia we fraku. Czy nie jest to dostateczna kompromitacja czynu, że właśnie takiego człowieka obrano przywódcą? Czy w końcu nie o taką dewaluację pewnych postaw chodziło reżyserowi, który sam podjął aktorską jeszcze rozgrywkę?

Myślę, że nieporozumieniem było w tej płaszczyźnie ustawienie postaw Poety, a i po trosze Dziennikarza. Rola Poety — Jatawca, jak mówi o nim Czepiec, czującego piękno ducha, przejętego zarazem własnym posłannictwem dominuje w sztuce. Wszędzie go pełno: komentuje, tworzy, choć z przymrużeniem oka, ale bawi siebie i innych, obserwuje, ba, a może pisze już dramat sumień? Po tym można spodziewać się wszystkiego! Nie ma u rzeszowskiego Poety tego całego bogactwa odcieni.

UROCZYSTOŚCI jubileuszowe Teatru im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie zapoczątkowały cały cykl podobnych obchodów w różnych stronach kraju. O kilka dni później podobne święto przeżył Teatr im. J. Osterwy w Lublinie. Dwudziesty rok istnienia rozpoczął teatr olsztyński, piętnasta rocznica działalności święcił teatr w Elblągu. Wydaje mi się, że podobne uroczystości, jeśli już się nie odbyły, to odbędą się w najbliższych miesiącach w Kielcach i Białymstoku. Teatry równe wielkemu Polsce Ludowej, bez starych, świetnych tradycji, pracujące w pionierskich warunkach, pomijane milczeniem lub traktowane z pobłażliwym poklepywaniem przez stołecznych krytyków podsumowują z rozważa pierwszymi okresami swojej historii. I okazuje się, że w tej nie zawsze efektownej pracy, rozpoczętej czasem tuż za linią frontu, te peryferyjne ośrodki sztuki teatralnej poszczyciły się cennymi osiągnięciami. To dzięki nim właśnie zrealizowało się w jakiś sposób marzenie Wyspiańskiego i Leona Schillera o „teatrze ogromnym” obejmującym swym zasięgiem cały naród.

Teatr im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie w ciągu 20 lat swej pracy artystycznej stanowił przykład ofiarnej, prawie misjonarskiej działalności (wybaczyć duże słowa — usprawiedliwia mnie okazja) w upowszechnianiu kultury teatralnej i smaku artystycznego, w regionie prawie dziewiczym pod tym względem. Istniały tu wprawdzie dawne tradycje teatrów ludowych, ale nigdy nie było teatru zawodowego.

W takiej sytuacji 169 premier, które obejrzało ponad 2 miliony widzów, w takiej sytuacji 450 przedstawień rocznie w 73 miejscowościach województwa naprawdę jubilatowi wstydzić nie przynosi. Nie wszystkie z tych 169 premier były wydarzeniami artystycznymi, nie wszystkie legitymowały się nawet dobrym rzemiosłem aktorskim, ale tak była w każdym teatrze. Wiele jednak spektakli utkwiło w pamięci

i w sercach widzów rzeszowskich. „Intryga i miłość”, „Balladyna”, „Uciekła mi przepióreczka”, „Wojna i pokój”, „Śmierć korniwojażera”, „Pierwszy dzień wolności” i chyba jeszcze kilka innych wejść na zawsze do historii tego teatru jako przedstawienia ambitne i sukcesy artystyczne na miarę zgoła nie prowincjonalną. Ale powszedni dzień teatru to także poprawne, konwencjonalne spektakle klasyków grane dla młodzieży w Ustrzykach Dolnych czy w Strzyżowie, to rów-

JAN GRYGIEL

WYSPIAŃSKI
NA
JUBILEUSZU

niez spotkania aktorów z zespołami amatorskimi, opieką nad ruchem recytatorskim, słowem cały zespół form zapewniających skuteczne oddziaływanie na bardzo różnicowane kręgi odbiorców. I jakkolwiek w odniesieniu do tej codziennej służby rzeszowskiego teatru można by formułować zarzuty zachowawczości stylu, eklektyzmu repertuarowego, czy nawet konformizmu, to nikt poważny zarzutów takich w pełni nie podtrzyma, gdy uświadomi sobie, jak licznymi względami i twardymi koniecznościami bywa ograniczany teatr o tak wielorakiej funkcji.

Z tym skromnym teatrem w ciągu tych lat związało swe nazwisko

wielu wybitnych artystów sceny polskiej. Pierwszym jego kierownikiem artystycznym była Wanda Siemaszkowa, gościł na tych deskach: Mieczysław Cwikliński, Tadeusz Białoszczyński, Aleksander Zelwerowicz, Lech Małaliński, Czesław Wołłejko i Ryszard Pietruski. Tu stawiali pierwsze kroki: Kazimierz Dejmek, Adam Hanuszkiewicz, Ignacy Machowski, Teresa Szmi-gielówna, Zbigniew Wójcik. Tu, w różnych sezonach członkami zespołu byli tak dziś ciekawie rozwijający się aktorzy, jak Józef Fryźlewicz, Bogusław Sochnacki, Halina Winiarska i kilku innych. Nie mogą tu niestety wyliczyć wszystkich, dla rzeszowskiego teatru wybitnie zasłużonych nazwisk dyrektorów, scenografów, reżyserów... Te, które wymieniam już wystarczająco stwierdzają, że dorobek artystyczny Teatru im. Wandy Siemaszkowej stanowi ważną kartę w dziejach teatru polskiego. Ale chyba nie wolno pominąć osób, które najdłużej dźwigały na swych barkach odpowiedzialność za kształt artystyczny teatru i losy zespołu — dyrektora i kierownika artystycznego w latach 1955—1958 Hugona Morycińskiego, dyrektora i kierownika artystycznego od 6 lat do chwili obecnej Stefana Wintera, i długoletniego kierownika literackiego teatru — Jerzego Pleśniarowicza. Należy się im z okazji jubileuszu szczególnie ciepłe słowa.

Na uświetnienie 20 rocznicy teatru wystawiono „Wesele” Wyspiańskiego. Wybór całkowicie uzasadniony. Wesele jest bowiem dla rzeszowskiego teatru kłamrą spinającą poszczególne okresy jego dziejów w logiczną całość służby dla idei teatru „ogromnego”, powszechnego... Poraz pierwszy „Wesele” (fragmenty) pojawiło się w tym teatrze u początku jego dziejów w listopadzie 1944 r. Po raz drugi po dziesięciu latach pracy teatru. Trzeci spektakl „Wesela” zamyka dwudziestolecie działalności.

Nie trzeba wreszcie zapominać, że dzięki swej barwności, dynami-

(Ciąg dalszy na str. 3)



Fot. ZDZISŁAW POSTEPSKI

Dwadzieścia lat temu miasteczko było kupą gruzów. Nawet gdy hitlerowcy opuścili je, ich artyleria usadowiona na niedalekich górach, drugo jeszcze nękała mieszkańców krzątających się w ruinach. Dukla — wyzwolona 20 września 1944 r. — odczekała dopiero w styczniu 1945 r., kiedy front przesunął się na zachód. Byłem tu niedawno na otwarciu wystawy poświęconej tamtym czasom. Zorganizowało ją krosieńskie Muzeum przy poparciu miejscowych władz. Organizatorzy nie szczędząc wysiłku, zebrali wiele zdjęć z okresu bitwy o miasto i Przełęcz Duklińską, fotokopii dokumentów, eksponatów pochodzących z muzeów i archiwów trzech krajów: Polski, ZSRR i Czechosłowacji. Zbiór ten, podobnie jak i cała wystawa, ma być — jak stwierdza dopisek w zaproszeniu — zaledwie przysługą muzeum bitwy duklińskiej.

Ten dopisek właśnie skłonił mnie, po obejrzeniu wystawy, do nakreślenia poniższych uwag. Popierając służbę i pozytywną inicjatywę władz duklińskich oraz krosnieńskie Muzeum, chciałbym zastanowić się nieco nad koncepcją tej przyszłej placówki.

Przypomnijmy. Walki określane popularnie mianem bitwy o Przełęcz Duklińską, w literaturze zaś wojennej i historycznej noszące nazwę operacji karpacko-duklińskiej były największymi bojami II wojny światowej na terenie województwa rzeszowskiego. Była to bitwa — a ściślej wiele kolejnych bitew — najdłuższa (8 września — 6 października 1944, nie licząc walk w Słowacji, najkrwawsza (kosztowała ponad 90.000 ofiar, podczas gdy np. Monte Cassino — 3.793, Wał Pomorski — 20.000), a jej znaczenie wojskowe i polityczne było bardzo poważne. Celem operacji było przywrócić z pomocą powstaniu słowackiemu, w rezultacie zaś odciągnięto znaczne siły hitlerowskie zarówno z terenu Słowacji, jak i z przyczółka sandomierskiego, co nie pozostało bez wpływu na utrzymanie tej tak ważnej w późniejszej ofensywie styczniowej pozycji. I jeszcze jedno. W operacji karpacko-duklińskiej uczestniczyli u boku Armii Radzieckiej oddziały czechosłowackie, a więc tutaj na południowym skrawku naszego województwa realizowało się w bitewnym czynie przymierze i braterstwo broni trzech krajów.

Ukazując panoramę tej wielkiej i krwawej bitwy, przyszłe muzeum nie może ograniczać się tylko do jednego odcinka walk, tj. wzduż osi Krosno—Dukla—Przełęcz Duklińska. Był to wprawdzie kierunek głównego uderzenia, ale przecież walki toczyły się na froncie od Gogółowa do Sanoka, a nawet dalej, gdyż spod Sanoka nacierała gen. Greczki, wyprowadzająca uderzenie pomocnicze w stosunku do tego, jakie wykonywała 38 armia gen. Moskalenki. Wydaje się, że ekspozycja poświęcona operacji karpacko-duklińskiej winna obejmować cały obszar działań, zwłaszcza że np. właśnie spod Sanoka wyszło uderzenie, które zadecydowało ostatecznie o opuszczeniu przez Niemców Dukli. Ekspozycja taka dawałaby przynajmniej podstawowe informacje o siłach i działaniach obu stron, ukazując zarazem rozmiary bitwy, czego nie czyni wystawa, choć przyczyną nie może tu być ani brak danych, ani brak miejsca.

Sprawa środków, którymi muzeum oddziaływać będzie na zwiedzającego, to przede wszystkim sprawa jeśli nie makiet, to przynajmniej mapy bitwy. Bez tego ani rusz. Pozostałe eksponaty to głównie zdjęcia oraz

różne pamiątki bitewne, a więc broń, części rynsztunku, umundurowania, oryginalne dokumenty, medale itp. Tutaj jednak trzeba przejawiać szczególną staranność i dbałość o to, by wszystkie eksponaty łączyły się w istotny sposób z historią bitwy, by dokumentowały coś, co odegrało w niej rzeczywiście konkretną rolę. Dobór więc nie jest łatwy, o czym już świadczy duklińska wystawa. Wśród egzemplarzy broni, jaka miała być używana przez żołnierzy radzieckich w operacji karpacko-duklińskiej widzimy tu np. wystuzonego

Sanocka 1963 Walerian Bętkowski — interesującej monografii Zarszyna, Długiego i Nowosielce podaje, że w wioskach tych podczas działań frontowych 1944 r. poległo więcej osób niż w poprzedzających latach z wrześniem 1939 r. łącznie.

Oto tabela stworzona na podstawie tych danych:

Wieś	Polegli w latach 1939—1944	Polegli podczas działań wojennych w 1944 r.
Zarszyn	14	17
Posada Zarsz.	9	17
Długie	12	24
Nowosielce	10	13

Oczywiście są w rejonie Dukli, gdzie podobne zestawienia wykazują różnice znacznie większe.

I na zakończenie jeszcze jedna sprawa. Jeżeli zdecydujemy się w duklińskim muzeum na gabloty z literaturą poświęconą bitwie, starajmy się zebrać jakieś reprezentatywne pozycje, a nie tylko wydawnictwa albumowo — okolicznościowe. Niech nie zabraknie tu książki ówczesnego dowódcy I Korpusu Czechosłowackiego gen. Swobody, czy pracy ówczesnego szefa sztabu tego korpusu, a dziś ministra obrony narodowej CSRS gen. Lomskiego. Niech obok wydawnictw czechosłowackich znajdą się tu książki radzieckie, a także opracowania naszych historyków bitwy duklińskiej: Flisowskiego czy Komornickiego.

Kończąc moje „uwaga-propozycje”, chciałbym raz jeszcze podkreślić potrzebę utworzenia muzeum w Dukli i zaapelować o pomoc dla jego organizatorów. Tysiące turystów (i to nie tylko polskich), młodzież, która odwiedza te tereny powinna poznać najnowszą historię tych terenów, znać i wyjaśnienie wielu spraw, z którymi się tutaj zetknie.

WITOLD SZYM CZYK

O muzeum bitwy duklińskiej

polskiego „visa”, pistolet znany raczej z walk partyzanckich, który pod Duklą mógł być co najwyżej używany przez paru niemieckich oficerów, nie znajdziemy natomiast choćby modelu (jeśli trudno o oryginał) moździerza 82 mm, armaty czy haubicy, które właśnie tu w walkach górskich były powszechnie stosowane i obok czołgów, dział pancernych, katiusz i samolotów odegrały decydującą rolę. Karabin piechoty nie miał tu takiego znaczenia. Naoczni świadkowie walk pod Duklą opowiadają, że grupy piechurów osłaniane przez fizylierów nacierały z karabinami na plecach, a jedynie z granatami w garściach. A więc właściwy dobór eksponatów to troska o pełną wierność historyczną.

Dając świadectwo wysiłku, ofiarności i bohaterstwa żołnierzy radzieckich przyszłe muzeum duklińskie nie może pozostawić na boku postawy społeczeństwa polskiego w tamtych dniach. Zarówno radzieckie, jak i czechosłowackie źródła wyrażają się o tej postawie z największym uznaniem. W wielu rozmowach, jakie przeprowadziłem z uczestnikami walk duklińskich, za każdym razem słyszałem dużo ciepłych słów pod adresem polskich partyzantów i ludności cywilnej. Przeprowadzanie za linie niemieckie, ostrzeganie przed niebezpieczeństwem, kawałek chleba czy garnek mleka podany zmęczonemu żołnierzowi, informacje o siłach i poczynaniach Niemców, oto podstawowe formy pomocy walczącym. Wspaniałym dowodem uznania tej postawy było przyznanie przez rząd czechosłowacki Dukli, Barwinkowi, Iwli i całemu powiatowi krosnieńskiemu medali duklińskich. Daremnie szukałem tych odznaczeń czy choćby fotografii ich dyplomów na wystawie.

A przecież ludność tych terenów także poniosła krwawe ofiary, nie mówiąc o tym, że wiele miejscowości uległo zupełnemu lub niemal całkowitemu zniszczeniu. W Roczniku

30 lat pracy...

Muzeum Historyczne w Sanoku obchodzi 30-lecie swego istnienia. Ze względu na swój specyficzny charakter i działalność odgrywa ono w życiu kulturalnym ziemi sanockiej poważną rolę. Z okazji tak cennego jubileuszu przeprowadziliśmy rozmowę z kierownikiem i kustoszem Muzeum ob. Stefanem Stefańskim, który jest jednym z jego założycieli i najstarszym pracownikiem.

— Kiedy powstało Muzeum w Sanoku i jakie było początki?

— Data otwarcia Muzeum przypada na jesień 1934 r., ale gromadzenie i przygotowania wymagały kilku lat pracy. Trudności było wiele: brak odpowiednich pomieszczeń, niezbędnych funduszy, fachowców, zdobywanie eksponatów — to tylko część tego, co miało do pokonania garstka zapaleńców — organizatorów. Mimo to już wtedy posiadaliśmy zbiory dotyczące sztuki sakralnej, rzeźby, malarstwa, etnografii oraz pamiątki związane z przeszłością miasta.

— Jak placówka ta przetrwała okres okupacji?

— W czasie II wojny Muzeum nasze poniosło ogromne straty. Niemcy wywieźli około 400 najcenniejszych eksponatów, w tym 40 królewskich nadeń dla miasta Sanoka. Powiadomiliśmy o tym Polską Komisję Rewindykacyjną, ale, niestety, tylko drobna część została odzyskana.

— Przejdźmy do okresu powojennego.

— Od pierwszych dni wolności za-

chcieliśmy porządkowanie Muzeum, likwidowanie zniszczeń, konserwację, no i uzupełnianie zbiorów. Właściwie jednak rozwój Muzeum rozpoczął się w r. 1950, tj. od daty upaństwowienia, gdyż dotąd było ono własnością społeczną, a tylko dotoowane przez państwo. Obecnie Muzeum podlega Prez. PRN.

— Wasze Muzeum prowadzi działalność nieco inną niż przywykło się sądzić.

— Tak. Gromadzimy eksponaty i udostępniamy je zwiedzającym, ale niezależnie od tego prowadzimy dość żywą i szeroko zakrojoną akcję oświatową. Bierzymy udział w wystawach organizowanych przez inne ośrodki, jak w Krakowie, Warszawie, Wrocławiu, Rzeszowie i in. Realizujemy hasło „muzea — uniwersytetami kultury” poprzez organizowanie odczytów, pogadek, wykładów, wystaw, oprowadzanie wycieczek itp. Ogółem zorganizowaliśmy już 47 różnego rodzaju wystaw, a nawet nasze eksponaty były wystawione na Wystawie Polskiej Sztuki Ludowej w Paryżu. Obecnie organizujemy oświatowe wystawy obrazowe oraz koła przyjaciół Muzeum. Współpracujemy też na tym polu z wieloma instytucjami.

— Jaki jest obecny stan posiadania Muzeum?

— Mamy w naszych zbiorach ponad 6 tys. eksponatów, skupionych w działach archeologii, etnografii, przemysłu artystycznego, militariów, ikon ruskich, rzeźby sakralnej i historii miasta. Trzeba podkreślić, że nasze Muzeum odwiedziło już ponad pół miliona osób. Jesteśmy w trakcie organizowania galerii współczesnego malarstwa polskiego, dotychczasowej ziemi sanockiej. Muzeum nasze otrzymało także piękny dar w postaci 70 obrazów i grafik od pochodzącego z Sanocznyny, a mieszkającego we Francji, artysty malarza Franciszka Prochaska.

— Jakie są plany na przyszłość?

— Przede wszystkim kapitalny remont i adaptacja budynków Muzeum. Przebudowa, centralne ogrzewanie, odpowiednie oświetlenie, klimatyzacja — wszak mieścimy się w salach XVI-wiecznego zamku, — z uwzględnieniem możliwości prowadzenia w jak najszerszym zakresie pracy oświatowej, wychodząc tym samym poza tradycyjny model załęcznego, muzealnego lamusa.

W najbliższym czasie otwieramy ciekawą wystawę p.n. „30 lat pracy Muzeum Historycznego w Sanoku”. Będzie to zbiór unikalnych dokumentów, fotografii i eksponatów, ilustrujących historię, pracę i dorobek naszego Muzeum.

A. Pop.

ANDRZEJ ZABIEROWSKI

erotyk III z kroplą

chmurnymi dłońmi weź kroplę deszczu

ciemna dziewczyno

byś struny mogła utrzymać w palcach

i pocałunek z światła wypłukać

oczy poprośnij oprawić w srebro

na dwa olbrzymie smutne pierścienie

bo zarysował się zapach nocy

na twoich włosach wtapianych w kolor

kroję dla ciebie chleb starym nożem

co kroplę przetrnie jak skórę jabłka

byś liście mogła jesienne poznać

w ich drętym smaku

KALMAN SEGAL

Zemsta szarlatana

Policia, prokurator i sędzia powiatowy dobrali się wreszcie do plegawej skóry rudego felczera Jodłowskiego i oskarżyli go o bezprawne zajmowanie się praktyką leczniczą.

Felczera Jodłowskiego żył w Miasteczku kilkadziesiąt lat, przez dziesiątki lat leczył ludzi dorosłych i dzieci obojga płci, miał dobrą i szczęśliwą rękę, usuwał zęby, puszczał krew i robił pacjentom wspaniałe lewatywy, które każdemu choremu przynosiły ulgę.

Gdy ktoś umierał, do konającego wzywano lekarza, ten lekarz nazywał się doktor Lorbeerkrantz i był tak uczony, że o chorobach rozmawiał tylko po łacinie, a do swego ukochanego pinczera mówił tylko po niemiecku, taki to był inteligentny pinczerek.

Natomiast żywi ludzie, żywi mieszkańcy Miasteczka przywykli byli leczyć się u Jodłowskiego, który był uczynny i niewymagający. Nikt nie zastanawiał się nad tym, czy Jodłowski jest prawdziwym lekarzem z papierami, czy też tylko znachorem lub szarlatanem. I oto pewnego razu Jodłowskiego osadzono w więzieniu. Policjant prowadził go przez małe Miasteczko z honorami, tak jak prowadził się prawdziwego zbrojnego. Dzieciaki biegły za nim, nieco dalej szła żona aresztowanego i głosno kłęła wszystkich policjantów — pana prokuratora, a przede wszystkim kłm owo go doktora Lorbeerkranta, który biednemu felczelowi zarzucił powódź i oddał go w zbrojne ręce granatowych Amalekistów.

Wśród wielu grzechów, jakie za-

rzucano biednemu znachorowi, był także ten, że pewnej ciemnej nocy udzielił pomocy groźnemu bandycie, niejakiemu Kobie, który od kilku lat grasował po okolicy, kradnąc kury, i którego poszukiwano za pomocą listów gończych. No, ale ludźcie sobie, a Pan Bóg sobie. Sprawiedliwość niebios ma swoje sposoby i felczera Jodłowskiego, człowieka o złotym sercu, szarlatan, dentysta i akuszer, a także niezły talmudysta, przekonał się o tym na własnej skórze.

Oto co się stało.

Mimo swoich zasług dla społeczeństwa, Jodłowski skazany został przez sędziego powiatowego na sześć miesięcy więzienia.

Co w tym czasie robi Pan Bóg? Pan Bóg zsyła na Miasteczko obfity śnieg, piękny puszysty śnieg, aż po same kolana. Specjalnie wyznaczni aniołowie dmuchali w ten śnieg, żeby ładnie padał na nasze ukochane Miasteczko. Ten śnieg padał bez przerwy przez całą noc, a noc była wyjątkowo piękna, niebo naciągnięte cynamonem, a księżyc w pełni wyglądał jak najpiękniejszy krawiec szwajcarskiego sera.

Potem ten śnieg stał i zrobił się okropna chlapa. A gdy na ulicach już można było plawić wieloryby, wtedy raptownie ścisnął mroź i zwrócił się straszna gołobędz. Ludzie przewracali się i padali jak gruszki. Stare kobiety ślizgały się na chudych pośladkach, padały i podnosiły się, ale Bóg czuwał, żadna nie złała sobie nie zrobiła, najwyżej jakiegoś siniaka.

Doktor Lorbeerkrantz poszedł na spacer ze swoim pieskiem i ze swoim przyjacielem, naczelnikiem więzienia. Obydwaj ubrani byli w ciepłe futra i w ciepłe filcowe buki. Uszli nie więcej jak sto kroków, potem naczelnik pośliznął się, upadł i złamał nogę. I to jeszcze jak złamał. Jak by mu ją kto siekierą porąbał. Rzeźnik by tego lepiej nie zrobił.

Jest napisane w Piśmie Świętym: „Gdy nieprzyjacieli twój upadnie, nie ciesz się, a jego cierpieniem nie raduj swego serca, albowiem Pan może się jeszcze rozmyślić i odwrócić kłeskę wroga w twoją stronę”. Tak mniej więcej mówi Pismo Święte, więc też nikt się nie cieszył. Ale smucić się też nikt nie chciał.

W Miasteczku nie było ani chirurga, ani ortopedy. Był tylko świetny akuszer, wspaniały nauk lekarskich doktor Lorbeerkrantz. On więc energicznie zabrał się do pacjenta, ale skutków nie było widać. Złamanie nie chciało się goić, noga była spuchnięta jak wiadro na pomyje i czerwono-fioletowa jak zachód słońca w górach. Naczelnik zwał z bólu, tłukł głową o ścianę i wył jak wściekły pies.

Należało sprowadzić jakiegoś profesora, ale akurat zawieja zrobiła się taka, że przez kilka dni i kilka nocy świata nie było widać, a potem okazało się, że wszystkie drogi są zasypane, a do kolei było przeszło dwie mile.

Pacjenta z polamaną nogą odwieźdali przyjaciele. Przyszedł prokurator, sędzia, komendant policji, kilku adwokatów przyszło, a nawet starosta i burmistrz. Każdy polecał mu inne lekarstwo. Inne okłady, na zimno i na ciepło, a gdy nikogo z siebie nie było w pobliżu, każdy z osobna radził mu sięgnąć po pomoc tego cholernego Jodłowskiego — szarlatana, bo szarlatan, ale on ma rękę do tych rzeczy, o, on już niejednemu pomógł, ma ogromne doświadczenie,



Fot. WOJŚLAW BRYDAK



„Wesele” na scenie teatru rzeszowskiego. Jasiek — Zdzisław Sikora, Kazia — Aleksandra Bonarska, Kasper — Włodzimierz Mancewicz.
Fot. JERZY OLMA

„Ale pięknie się odbywo”

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Zdzisław Nowicki to przede wszystkim trzeźwy, co nieco ironiczny, młody inteligent, niezbyt serio zainteresowany dziejową chwilą. Gdyby choć uratował własną dojrzałość, dorósł sytuacji w momencie oczekiwania, przed świtem, pojawienia się Wernyhory...

Znana to scena z II aktu Wesele, gdzie Dziennikarz zmęczony i wstrząśnięty rozmową ze Stańczykiem — własną kontrakcją, oświadcza „nie chcę żadnej więcej prób”. Myślę, że to dramatyczne wyznanie jest szczere. Już po tej scenie jest zaledwie dwie, czy trzy rozmowy, niewiele znaczące i Dziennikarz usuwa się w cień, szarzej, znika. Tego kunsztu przeistoczenia się trzeźwego polityka, który rozumie sytuację, w zmęczonego i pobitego własną świadomością kłeski li tylko gościa weselnego, bardzo brakowało mi u Franciszka Buratowskiego.

Na owym retuszu historycznym, jaki Winter nałożył na drugi, społeczny nurt Wesele, polega realizm jego inscenizacji. Trzeba przyznać, że to realizm mocno krytyczny, polemizujący z „Plotką o Weselu”, odsuwający ją na dalszy plan, nierzadko świadomie ignorujący tradycję.

Tym bardziej przeto zaskakuje jej obecność (i to w jakiej dawce) w rekonstrukcji dosłownej II aktu, gdzie panoszy się symbol i aluzja, gdzie „noc nasze przeznacza widzenia”. Te

chrzęsty słomianego Chochoła (sugestywnie zresztą zagranego przez Wincentego Zawirskiego), trzaskanie zbroi, trupi swąd, matejkowski Stańczyk (cudownie poza tym harmonizujący z pięknym bardzo przestrzennej izby i krechą purpurowej wstążki u stropu) i wreszcie Wernyhora, o którym z humorem chciałoby się powiedzieć za Kubą „straśnie polskie robił miny” — wszystko to jest niewątpliwym ukłonem w stronę pietyzmu dla sztuki, co by w końcu cieszyć mogło, gdyby zarazem nie było dysonansem. I stąd na wstępie moje zastrzeżenie o niejednoznacznej interpretacji.

Ponad wszystkim jednak górę świeży, pulsujący rytmem I aktu Wesele. Dynamika postaci, które zawiązują intrygę, doskonałość ruchu, weselny pęd — urzeka. I na tym tle dwie role, którym należałoby się osobne omówienie: Rachel Lidii Maksymowicz i Czepiec Zdzisława Kozienia. Podziwiać należy aktorstwo, którym błysnęła Maksymowicz dając wizerunek panny literackiej, pełnej smutku i egzaltacji, u-wrażliwionej na piękno rozśpiewanej chaty, choć obcej, która zniknęła przy wędrowaniu i do nikąd odeszła. Że Zdzisław Kozień zbierał brawa za Czepca, trudno się dziwić. Konsekwencja, z jaką budował swoją postać, leżącą na pewnie w granicach jego temperamentu scenicznego, jeszcze raz potwierdziła dobrą klasę tego interesującego aktora.

Nie sposób wymienić tu cały zespół współtworzący „Wesele”; rzad-

ko ogląda się przedstawienie o tak dopracowanych i przemyślanych rolach, że choć wspomnę Pana Miodego Józefa Jachowicza, który „gada, gada, gada, gada”, pełną prostoty Pannę Młodą Annę Bienkiewicz oraz wdzięku Janinę Węglanównę w roli Gospodyni; dalej Kliminę Jadwigi Wysockiej, Jaśka Zdzisława Sikory, Zydą Janusza Urbańskiego czy Dziada Edwarda Apy. I wreszcie małeńka perełka przedstawienia: ko-miczny ponad miarę Nos Tadeusza Czarnowskiego.

Zakończyć chciałabym tę garść różnorodnych wrażeń z jubileuszowego „Wesele” słowami, którymi gwarzył sobie jesienną nocą Czepcowa z Gospodynią, a w pobliskiej izbie kołował ten „świat pijany, cały świat zaczarowany”:

„Ale pięknie się odbywo.”

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA

Teatr im. W. Siemaszkowej — Wesele St. Wyspiańskiego. Reż.: Stefan Winter. Scenografia i kostiumy: Antoni Tośa, Irena Perkowska. Asystent reżysera: Adam Fornal. Oprac. muz.: Henryk Głowacki. Udział biorą: Stefan Winter, Józef Jachowicz, Teofila Zagłobianka, Andrzej Girtler, Zdzisław Sikora, Zdzisław Nowicki, Tadeusz Czarnowski, Elżbieta Lityńska, Irena Zurowska, Zdzisław Kozień, Jadwiga Wysocka, Jerzy Rostkowski, Janusz Urbański, Janina Węglanówna, Anna Bienkiewicz, Marek Chodorowski, Edward Apa, Włodzimierz Mancewicz, Franciszek Buratowski, Wincenty Zawirski, Alina Zydron, Barbara Barcz, Stanisława Ryłska, Aleksandra Bonarska, Lidia Maksymowicz, Liliana Brzezinska, Adam Fornal, Grzegorz Galiński, Włodzimierz Kaniowski, Marian Maksymowicz, Władysław Trojanowski, Ireneusz Erwan.

nie tak jak ten parszywy Lorbeerkrantz, ten doktor Lorbeerkrantz, to prawdziwa stołowa noga, zwykły kornat, panie dobrodzieju.

Człowiek ze złamaną nogą słuchał i krew go zalewała. Co na to powie świat? Co powie całe Miasteczko? Posadzić brudnego zachora, a potem prosić go o pomoc. Ale ból wzmagał się, miejsce złamane gnęło, drogi do Miasteczka zaspane były śniegiem. Naczelnik zamknął oczy i słabym głosem prosił o odrobinę traci-

A nazajutrz wywołane Jodłowskie-ra do kancelarii. Czekal tam na niego prokurator.

— Panie Jodłowskie — powiedział uprzejmie przyjaciel naczelnika więzienia. — Niech pan siada. Mówiliśmy wczoraj o panu w jednym miejscu. Wszyscy pana bardzo żalowali. Ma pan dużo przyjaciół w Miasteczku. Wszyscy chcieliby panu pomóc.

— Ou wa! — uśmiechnął się Jodłowski. — Czy panu prokuratorowi szanownemu nie trzeba lewatywy? Może pan prokurator chory?

— Jakbyś zgadł panie Jodłowskie! — roześmiał się prokurator. — Jest jeden człowiek, który złamał nogę. Trzeba mu pomóc. Tylko w panu cała nadzieja.

Jodłowski milczał i powoli palcami rozczesywał wspaniałą rudą brodę, która miała kształt ryżowej miotły.

— Ja myślę — kuł żelazo prokurator. — Ja myślę, że jeśli pan tę nogę wyleczy, to ten człowiek może panu przedniej opuścić więzienie. Ja też dla pana zrobię wszystko, co się da. Napiszemy, że pan się dobrze sprawował, albo że pan jest chory.

— Panie prokuratorze Kochany — ożywił się więzień. — Zaczynam już trochę rozumieć. Czy ten człowiek, o którym pan mówi, nazywa się Lorbeerkrantz? Bo jeżeli to jest on, to ja chętnie mu tę nogę złamaną nastawię i wyprostuję i nie

tylko jedną nogę, ale obie nogi. I żadnej wdzięczności nie chcę, odsłedzę tu wszystko, co się panu prokuratorowi należy. Tylko niech on najpierw złamie obie nogi.

— Nie, drogi panie Jodłowskie — spuścił z tonu prokurator. — To nie doktor Lorbeerkrantz. To naczelnik więzienia złamał nogę.

— Aj aj, aj... — zasępił się Jodłowski. — Taki złoty człowiek. Taki brylant.

— No więc? — nastawał prokurator. — Niech pan to zrobi, a wypuścimy pana.

— Eee — machnął ręką Jodłowski i sięgnął do papierosów prokuratora. — A czy mnie tu źle?

Prokurator podał mu ognia.

— Panie prokuratorze — powiedział więzień, wstając z miejsca. — Niech mnie odprowadzą do mojej celi, do tego mojego palacu, do ślicznego gabinetu, gdzie powinni mieszkac ludzie bogaci, nie tacy jak ja.

— Nie rozumiem.

— Napisane jest w dwudziestej drugiej księdze talmudu babilońskiego na sto czterdziestej stronie: „Co to znaczy być bogatym?”. Na to komentarz Raszi odpowiada: „Ten jest bogaty, u którego wychodek stoi blisko jadalni”.

— Niech pan sobie weźmie trochę papierosów — uprzejmie zaproponował prokurator coraz bardziej oczarowany charakterem więźnia.

Co dalej robi Pan Bóg? Choremu naczelnikowi Pan Bóg dodaje cierpienia. Jodłowskiemu dodaje uporu. Owszem, dla pana naczelnika zrobiłby wszystko. Ale nie chce zabierać chleba swojemu przyjacielowi doktorowi Lorbeerkrantzowi.

Po kilku dniach do Jodłowskiego przyszła cała delegacja. Zona, jak zwykle zapłakana, przez gminy wyznaniowej z pudełkiem dobrych cygar i jeszcze kilku przyjaciół więźnia.

— Będziecie państwo sami — powiedział zastępca naczelnika, dyskretnie wycofując się z gabinetu. — Proszę się czuć zupełnie swobodnie.

Czuli się zupełnie swobodnie, gadał długo, namawiali żarliwie. Każdy na swój sposób starał się go przekonać, że człowiek nie powinien być tak uparty.

— Zrób mu tę śmierzdzącą nogę — powiedziała zona. — Niech ci się zdeje, że naprawiasz nogę koniowi, albo krowie, albo nawet świni. Wielka rzecz, noga. I niech ja cię już znowu mam w domu. Niech nie pokazują na mnie palcami, że to jest ta, co jej mąż gnije w kryminalu.

— Reb Jodłowski — powiedział prezes gminy wręczając mu skrzyneczki dobrych cygar. — Trzeba to zrobić. I niech doktor Lorbeerkrantz pęknie ze złości.

I ten argument przeważył. Jodłowski skrzywił się, zrobił minę jakby połknął żabę, ale skinął głową na zgodę.

Nazajutrz opuścił więzienie.

Nogę panu naczelnikowi musiał na nowo łamać, bo była źle zestawiona. Łamał więc i zestawiał dokładnie tak jak trzeba. Podczas tego łamania naczelnik trzy razy zemdlął. Znachor Jodłowski cucił go starym niezawodnym sposobem, podsuwając mu pod nos buteleczkę z amoniakiem i dobrodusznie bijąc go po twarzy.

Po trzech miesiącach noga przestała boleć, zrosła się i choć była teraz nieco krótsza, naczelnik korzystał z niej do końca życia.

Cała ta sprawa ze znachorem Jodłowskim i nogą pana naczelnika kosztowała doktora Lorbeerkrantza wiele zdrowia. Zdziwaczał przez nią schudł. W dodatku rozchorował się jego ulubiony piesek, z którym zwykły był rozmawiać po niemiecku. Pewnego dnia piesek zdechł i wówczas doktor Lorbeerkrantz opuścił Miasteczko. Wyjechał w nieznanym kierunku i więcej nikt o nim nie słyszał.

Wyspiański na jubileuszu ...

(Ciąg dalszy ze str. 1)

czności i ciągle jeszcze aktualności, dramat ten szczególnie nadaje się na święto teatru. To trzecie rzeszowskie „Wesele” nie zawiodło naszych oczekiwań. Było spektaklem na miarę jubileuszową. Stefan Winter, reżyser przedstawienia, nie szukając epatujących uduwnień, zaproponował jednak widzom własną interpretację „Wesele’a”; logiczną, bardzo konsekwentną i współczesną. Między dwiema skrajnymi możliwościami odczytania sztuki — jako druzgocący pamflet, surowy sąd nad równieśnym pociem pokoleniem i jako rzeczowy i autentyczny dramat tegoż pokolenia — Stefan Winter wybrał pośrednią — odczytał „Wesele” jako wizję ironisty i sceptyka, jako gorzką i zabawną „polską szopę”, niewesołą komedię pozorów i omyłek. W tej wizji nie ma miejsca na miażdżące inwektywy, na zjadłość pamfletu, ale też nikogo i niczego nie traktuje się naprawdę serio. Wydaje mi się, że takie spojrzenie nie tylko jest bliższe świadomości i psychice współczesnego widza, lecz również intencjom Wyspiańskiego, którego Tadeusz Boy-Zeleński w „Plotce o Weselu” ukazuje jako chłodnego, sceptycznego obserwatora wydarzeń w bronowickim dworze. Reżyser, wierny realiom obyczajowym i etnograficznym, wierny nawet tradycjom upodobił postaci do sztuki do ich autentycznych pierwowzorów, poprowadził i akt bardzo klasycznie i czysto, jako wartką komedię obyczajową. Ale już tu przeważa ton pobłażliwej ironii i drwiny nad lirycznością i patetycznością.

Nieco dyskusyjny w obrębie tej koncepcji jest akt II. Przez nieco zbyt dosłowne i tradycyjne potraktowanie postaci fantastycznych przypominają one „autentyczne” upiory i jawy zza świata. A winny być chyba tylko symbolami marzeń i teskot gości weselnych, które ucieleśniają się po to, by im wykażać, że nawet do konfrontacji ze swymi snami o potęgę nie dorosli. Przez to akt II stanowi pewne załamanie linii interpretacyjnej spektaklu. Ale już w III akcie sprawa złego rogu, czynu, kos, hasła i odzewów przybiera właściwe wymiary i służy do wydrwienia inteligentkiej „niemożności” i chłop-

skiej krzepy, rwanej się do jakiegokolwiek, choćby bezcelowej „bijacki”. A więc spektakl bardzo ambitny i współczesny przy pozorach tradycjonalizmu, mimo pewnych niekonsekwencji we wspomnianym już akcie II.

Z tej koncepcji reżyserskiej wynika również charakter postaci sztuki. Na szczególną uwagę zasługuje kilka kreacji aktorskich podbierających intencje reżysera. Pan Młody (Józef Jachowicz) prze-zabawny w swym nieświądomym żalaniu się na ludowo, mieszczańskie w każdym calu, groteskowy gaduła i doktrynerek. Żywiółowy i „roz-noszony” przez temperament Czepiec (Zdzisław Kozień) szczerzy w odruchach, lecz za to bezmyślny. Doskonały ksiądz (Wincenty Zawirski) z prawdziwie chłopskim uporem dążący do awansu i zdobycia grosza (świetnie rozegrana scena między Czepcem, Żydem i księdzem — jak z komedii obyczajowej wysokiej klasy i dużej drapieżności).

Z takiej koncepcji inscenizacyjnej wynika również postać Poety (Zdzisław Nowicki). Jest to wbrew dotychczasowym tradycjom typ zgorzkniałego neurastenika. Na szczególną jednak uwagę zasługuje Gospodarz kreowany przez Stefana Wintera. To nie jest, jak dotąd, pozytywny bohater dramatu. Na desce teatru rzeszowskiego jest on trochę śmieszny, niepoważny jak wszyscy i wszystko naokoło. Stery-chający pantoflarz żyjący także w świecie pozorów, jak inni, jest przede wszystkim zmęczony. Z góry wiadomo, że wszelkie próby podjęcia „Czynu” przez takiego przywódcę muszą się skończyć fiaskiem.

Poza kilkoma jeszcze interesującymi kreacjami są w tym spektaklu także role słabsze. Ale szczegółowa analiza przedstawienia zajmuje się obok Krystyna Świerczewska. Czuje się więc zwolniony od tego obowiązku.

Jubileuszowy spektakl „Wesele” godnie uczcił święto rzeszowskiego teatru. Należałoby życzyć zespołowi imienia Wandy Siemaszkowej jak najwięcej podobnych w przyszłym dwudziestolecu pracy artystycznej.

JAN GRYGIEL

ANNA MILEWICZ

Opowiada Walentyna Krzan

Nazywałam się
Walentyna Zrób
Walentyna Zrób
Walentyna Zrób
Niech Walentyna Zrobi
A teraz nazywam się
Walentyna Krzan
urodzona roku
tysiąc osiemset
dziewięćdziesiątego

zamieszkała
w Państwowym Domu Opieki
przy Długiej ulicy
Na mój rozum nazywać się winna Stoneczna
Pojmie
kto ze mną
mijał
słupy
lat
A teraz pokój
a z pokoju balkon
a z balkonu ogród
a w ogrodzie
drzewa się kotłysz

TADEUSZ KUBAS

CHRONOLOGICZNI

Na taśmie życia
magnetofonowej
utrwalamy siebie
potomnym

Tu poplątane kierunki
wyczekiwania
czarnych zielonych
i bezbarwnych

drażą
serca i mózgi

elektryzują
czas i przestrzeń

przesączają
w gonitwę jutra

Tu określanie
przyszłości mrażą
pogrąża w czasie
przemijania

O filmie w sejmie

Sejmowa Komisja Kultury i Sztuki rozpatrując projekt planu i budżetu Ministerstwa Kultury i Sztuki na rok przyszły, poświęciła sporo miejsca w swych obradach sprawom naszej kinematografii.

Przewiduje się, że w 1965 r. zespoły filmowe wyprodukują 26 pozycji długometrażowych, w tym 24 fabularne i 2 dokumentalne. Wśród fabularnych znajdują się trzy „superprodukcje” — „Faraon”, „Popioły” i „Rekopolis” — a także nakręcony przy współpracy z ZSRR „Lenin w Polsce”.

Filmów średnio- i krótkometrażowych powstanie 482, w tym 42 fabularne, realizowane specjalnie dla telewizji. Pozycje dokumentalnych ma być nakręconych 151, a popularnoświatowych — 148.

Na ekrany naszych kin wejdzie w przyszłym roku łącznie 180 filmów fabularnych, reprezentujących wszystkie ważniejsze kinematografie świata.

W chwili obecnej moc produkowanych wytwórni przewyższa potrzeby produkcji dla kin, nie wystarczy jednak na zabezpieczenie stale rosnących apetytów telewizji.

Aby nasza najmłodsza muza miała zapewniony regularny dopływ przeznaczonych dla niej specjalnie filmów, niezbędne byłoby dodatkowe nakłady. W każdym razie wzrost produkcji filmów telewizyjnych nie może nastąpić kosztem produkcji przeznaczonych dla kin.

Zwracano uwagę, że ze względu na konkurencję telewizji konieczne jest zapewnienie stałej poprawy warunków projekcji, jak też estetyki kin. Pilnym zadaniem jest ich modernizacja oraz przystosowanie do nowych rodzajów techniki — np. montowanie ekranów panoramicznych. Niestety — jak stwierdzano — fundusze na te cele są obecnie niewystarczające. Rady narodowe, które są gospodarzami kin, powinny poświęcać więcej uwagi i środków na ich remonty i modernizację. W roku przyszłym przewiduje się uruchomienie 31 nowych kin. Liczba seansów wzrośnie o 0,6 proc.

Postawie wyrażili zaniepokojenie obserwowanym ostatnio spadkiem eksportu naszych filmów fabularnych do krajów zachodnich. Wskazywano, że powinno się temu przeciwdziałać poprzez zwiększenie eksportu na te rynki naszych krótkometrażówek.

20-lecie Teatru im. A. Węgierki w Białymstoku

Teatr im. A. Węgierki obchodzić będzie w grudniu br. jubileusz 20-lecia swej działalności. W okresie przedwojennym miasto to nie posiadało stałego teatru. Czynna tu była jedynie filia teatru grodzieńskiego oraz występowały zespoły objazdowe z innych miast.

Nowy teatr powstał po wojnie, wystawił dotychczas 195 sztuk, dając łącznie 7 tys. przedstawień, które obejrzało ok. 3 mln osób. Specjalny zespół objazdowy tej sceny dociera od wielu lat do 45

miejscowości na terenie województwa.

Z okazji jubileuszu teatr wystawi sztukę Żeromskiego „Sukowski” w reżyserii dyrektora tej sceny Jerzego Żegalskiego z Krzysztofem Ziemińskim i Haliną Przybylską w rolach głównych. Zorganizowany będzie przegląd sztuk z repertuaru teatru połączony z sesją Klubu Krytyki Teatralnej SDP. Otwarta będzie wystawa obrazująca działalność teatru.

Rozsądna odpowiedź na pytanie zawarte w tytule brzmi: Nie. Nie warto. Dlaczego? Zastanówmy się nad tym, co poeta ma z poezji. Stać? Pieniądże? Zadowolony? Przyjrzyjmy się, jak jest w rzeczywistości.

SŁAWA

Ona zdarza się nader rzadko. Jeśli już się młodemu poecie przytrafi — jest wątpliwa, krótka, ciężko wywalczona. W Polsce według orientacyjnych obliczeń — pisze i drukuje około tysiąca młodych poetów (poza Związkiem Literatów). Pisze około, gdyż roczniki GUS-u nie podają w tej materii danych.

pieniądze, trzeba pracować. Młody poeta (jeśli się akurat nie uczy) musi pracować. W biurze, w kulturze, na kole, na budowie. Musi mieć zawód, musi pracować.

Z czystej literatury nawet zawodowcy nie mogą się utrzymać (przeżycie pisma kulturalne, zobaczcie, KTO sobie i JAK dorabiał). Założmy — powiodło się młodemu poecie, wydrukował wiersz, otrzymał honorarium — 80 czy 100 złotych. Będąmy optymistami — powiodło mu się znakomicie — wydrukowano mu cztery utwory w ciągu roku, w tym jeden w piśmie ogólnopolskim. Otrzymał 400 złotych. Rocznie. Z twórczości. A gdzie pozostałe 23.600 zł?

WIDNOKRĄG odpowiada

MICHAŁ — TARNOBRZEG: Radzimy wysłać tekst legendy do Płomyczka lub Płomyka. Ten typ utworu nie zgadza się z koncepcją redakcyjną „Widnokragu”. Nie widzimy u siebie miejsca dla takich utworów. Forma literacka legendy

wuje każdy swój wiersz piętnaście razy. Harasymowiczowi, na zapisanej karcie formatu A-4 zostaje — po skreśleniach — parę linijek. I — tak dalej, etc.

A więc pisanie wierszy to ciężka praca. Talent boski, erudycja, ocena — to wszystko za mało. Leopold Staff w jednym ze swoich ostatnich wierszy napisał wręcz:

„Piszę wiersze powoli
pracuję ciężko jak wół”...

Nie każdy młody poeta do tego się przynajmniej. Młody Staff też się nie przynajmniej.

Z czego, pytam, ma być zadowolony młody poeta?

jest trochę prymitywna, lecz fabuła dość interesująca.

ZYTA Z KROSNA: Powiada Pani w liście — „nie wiem czy ten czas, który poświęcam wierszom lepiej by było poświęcić na naukę, czy też nie”. Odpowiadamy — lepiej się uczyć. Wiersze zle, nie trzeba mieć złudzeń. Utwory nadesłane są typowym przykładem „częstochowszczyzny”. Nie ma w nich ani szczypty poczty.

TERESA S. Bardzo Pani współczujemy, jeśli wiersz, który otrzymała, ukazuje prawdziwą sytuację życiową autorki. Ten smutny utwór nie ma niestety wartości artystycznych i nie możemy go drukować.

ITA Z TARNOBRZEGA: Nie skorzystamy. Wiersze bardzo banalne i wtórne, rozgadane i deklaracyjne. Nie sądzimy jednak, by pisanie nawet słabych wierszy wpływało ujemnie na psychikę. Przeciwnie — może to stanowić formę relaksu po pracy zawodowej.

ry (jeśli takowy w danej miejscowości istnieje, a jeśli nie — to założyć! Przecież wszystkie kluby ktoś musi najpierw założyć, żeby inni mogli się potem zapisywać). Tutaj, w sporcie, możliwości zabijania są o wiele większe. Bo to i sława nie byle jaka — jeśli się celnie kopie — i za amatorskiego gola lepiej płać, niż za amatorskiego wiersza, a ułatwienia, treningi, obozy, wyjazdy zagraniczne — tego już nie zliczyć. SPORT — oto jest właściwe pole do popisu dla młodych z ambicjami!

Wiem, że te moje wywody nikogo nie przekonają (prócz ludzi rozumnych, ale tych nie trzeba znowu przekonywać, oni o tym od dawna wiedzą). Zatem jeszcze ostatnia próba argumentacji. Jeśli już być poetą, to takim jak Goethe, Rimbaud, Jesienin. Niżej mierzyć nie wolno. Z tym tylko, że z wyżej wymienionej trójki, jedynie Goethe miał z pisarstwa profit. Ale to były inne czasy.

Dobrze, dobrze — wykrzyknie ktoś w oburzeniu — ale, jeśli łaska: dlaczego to autor tak trzeźwych i sceptycznych sądów sam PISZE WIERSE? To trudno wytłumaczyć. Piszę, bo muszę. Są tacy, uwierzcie, którzy lekce sobie wazą własne zdrowie, siły, czas, bo zdaje im się, że mają COŚ DO POWIEDZENIA, a czasem to nawet istotnie mają. Gdyby tego nie powiedzieli — to by się chyba pochorowali. I tak powstają wiersze. Nie zazdrościcie młodym poetom. Współczujcie im raczej. Wszystko co powyżej napisałem — to szczerą prawdę.

Ktoś musi pisać wiersze. Trudna to i piękna umiejętność. To dobrze, że wiele ludzi próbuje pisać wiersze. Zachęcam do tego jak najgorzej. Chodzi mi tylko o to, aby młodzi nieopierzona wiedzieli, na co się wazą, jakie ryzyko podejmują i trud.

A w ogóle młodzi ludzie przed osiągnięciem pełnoletności winni wraz z wierszami przysyłać do redakcji pism zezwolenia rodziców na pisanie wierszy. Zezwolenia na piśmie i z pieczęcią.

TADEUSZ PIEKŁO

FRANCISZEK WITTMAN — naczelnik Działu Szkolnictwa Ogólnokształcącego KOS w Rzeszowie.

rys. JERZY SIENKIEWICZ



Zdarzenia tycodnia

We wtorek odbyło się w Rzeszowie zorganizowane przez Wydział Kultury Prezydium WRN spotkanie członków Związku Literatów Polskich, mieszkających na terenie woj. rzeszowskiego, członków Korespondencyjnego Klubu Młodych i zaproszonych gości. W spotkaniu poświęconym sprawie organizacji klubu literackiego w Rzeszowie wziął udział mianowicie Adam Włodek, jako przedstawiciel Oddziału Związku Literatów Polskich w Krakowie.

Na zebraniu powołano do życia Klub Literacki w Rzeszowie i opracowano jego statut. W skład Zarządu Klubu weszli: w wyniku wyborów: Bogdan Loebl, Jerzy Pleśniarowicz, Jan Grygiel, Ludmiła Pleśniarowska i Zdzisław Ostrowski.

„Widnokrag” z satysfakcją wita cenną propozycję i z przyjemnością odnotuje każdy krok, uczyniony w tym kierunku.

W poniedziałek udał się do Wrocławia na przegląd zespołów młodych form Teatr Słowa Związku Teatru Amatorskich „Meluzyna” przy ZDK WSK Rzeszów. W dniu 8 bm. „Meluzyna” zaprezentowała przegląd historycznej anegdoty z muzyką i piosenką zatytułowany „Nie responsowa” w reżyserii Erasma Buchelta, w opracowaniu plastycznym Stanisława Gliwy. Ilustrację muzyczną opracował Leszek Staciak.

W Stalowej Woli amatorski teatr Zakładowego Domu Kultury Huty Stalowa Wola przygotowuje dramat Jacquesa Compagnie pt. „Przyjacieł przyjdzie wieczorem” (tematyka okupacyjna), a scena młodzieżowa pracuje nad komedią Rogera Ferdinanda „Szczepanek”. Obie sztuki reżyseruje Józef Zmuda, scenografia Tadeusza Gawory.

6 grudnia bm. w Muzeum Okręgowym w Rzeszowie otwarto wystawę pokonkursową pamiątkarską regionalnego Rzeszowszczyzny. Obszerna ekspozycja zawiera prace nadesłane na konkurs, ogłoszony przez Wydział Kultury i Muzeum Okręgowe.

Trzeba tu przyznać, że większość ekspozycyjnych prac reprezentuje wysoki poziom i dobrze świadczy o ich autorach. Można jedynie mieć zastrzeżenia do ekspozycji z ciasta, mających wyraźne cechy odpustowych wyrobów. Podczas otwarcia wystawy wręczono nagrody przyznane przez Ministerstwo Kultury i Sztuki i Wydział Kultury.

W Rozwadowie otwarto międzypodzielni klub „Ronita”, utworzony przez działające na terenie Rozwadowa, Niska i Tarnobrzega (stad nazwa Ronita): Spółdzielnię Pracy Remontowo-Konserwacyjno-Budowlaną i Spółdzielnię Pracy Inwalidów „Zryw”. Sądymy, że klub (trzeba przyznać — dobrze urządzony) wprowadzi wiele ożywienia do życia mieszkańców Rozwadowa. Zamierza się tam organizować wszelkiego rodzaju zajęcia o charakterze kulturalno-oświatowym i artystyczno-rozrywkowym.

6 grudnia w lańcuckim zamku odbył się uroczysty koncert w rocznicę śmierci Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. Państwowa Orkiestra Symfoniczna w Rzeszowie pod dyrykcją Janusza Ambrosia wykonywała na przemian utwory Bacha, Mozarta i Glucka, a Henryk Ładoc recytował utwory poety. Największe wrażenie na słuchaczach wywarła recytacja „Zaczarowanej doroczki”, na ta-muzyki.

W Muzeum Okręgowym w Rzeszowie otwarto w ubiegłą niedzielę interesującą wystawę polskiej ceramiki wieku XVIII i XIX. Ekspozycję dostarczyło Muzeum Narodowe w Krakowie. Zwiedzający mogą zobaczyć licznie zgromadzone wytwory znanych w kraju ośrodków ceramiki użytkowej.

W Wojewódzkim Domu Kultury w Rzeszowie trwa zorganizowany wspólnie z ZO Związku Zawodowego Pracowników Rolnych dwutygodniowy kurs dla kierowników świetlic PGR. Tematem zajęć są ogólne założenia pracy kulturalno-oświatowej.

W sali Wojewódzkiego Domu Kultury odbył się koncert Państwowej Orkiestry Symfonicznej, którym dyrygował Tadeusz Chachaj. Solistą koncertu był znakomity skrzypek czeskosłowacki Antoni Moravec, znany z występów w wielu krajach Europy i Afryki. W Rzeszowie artysta wykonał z POŚ koncert skrzypcowy Maxa Brucha.

2 bm. Związek Teatrów Amatorskich Oddział Wojewódzki w Rzeszowie wspólnie z MOFP zorganizował naradę kierowników świetlic przy szkołach średnich ogólnokształcących i zawodowych poświęconą organizacji kół młodzieżowych w środowisku szkolnym. Podczas narady napłynęły zgłoszenia organizacji tych ośrodków krzewienia kultury teatralnej.

Ostatnio ukazało się Wydawnictwo Muzeum Okręgowego w Rzeszowie pt. „Sprawozdanie Rzeszowskiego Ośrodka Archeologicznego za rok 1964”. Jest to zbiór artykułów dotyczących prac wykopaliskowych tego ośrodka na terenie naszego województwa.

W ramach programu upowszechnienia plastyki Wojewódzka Komisja Związków Zawodowych zakupiła pięć obrazów z rzeszowskich artystów (Jerzego Majewskiego, Franciszka Frączka i Feliksa Worsztynowicza), członków Oddziału ZPAF. Część zakupionych prac zostanie przeznaczona dla organizowanej w Łancucie galerii rzeszowskiej plastyki, a część pozostanie w WKZZ.

Trybuna dyskusyjna

CZY WARTO BYĆ POETĄ?

Młody poeta, gdy ma się najlepiej wiedzieć, może wydrukować w ciągu roku dwa — trzy wiersze. Nazwiska autora — rzecz jasna — nikt nie zapamięta, rzadko kto zauważy, prócz rodziny i znajomych (a ci ostatni jeszcze będą żywić wątpliwości, czy to na pewno ten młody Kowalski z naprzeciwnika). Wiersz, choćby był i najlepszy, nie zostanie przez nikogo odnotowany, przez żadne pismo przedrukowany nie będzie. U nas te przypadki należą do rzadkości. Wiadomo — trudności papierowe, brak oddzielnych pism poetyckich, skąpe spaliny wydzielane dla poezji na kolumnach pism społeczno-kulturalnych.

Podobnie bywa z konkursami poetyckimi. Tych, co prawda, jest istnie zastrzeżenie, ale też są znakomite frekwentowane. Młody poeta, jeśli uda mu się otrzymać jakąś nagrodę czy wyróżnienie w ogólnopolskim konkursie poetyckim, zyskuje jedynoliniowy rozgłos wśród kilkuset innych młodych poetów, którym się w owym konkursie nie powiodło. Bo ktoś inny interesuje się owymi konkursami, nagrodami, turniejami, wierszami — prócz profesjonalistów? Nie tudyżmy się — przeciętny czytelnik ciągle jeszcze woli czytać Bunscha i mauić, że czytuje Mickiewicza i Tetmajera.

Mija konkurs, mija dzionek, mija sława. W obliczu szarego dnia staje szary, młody poeta. Nierozpoznany. Coś musi z sobą zrobić. Co?

PIENIĄDZE

Aby żyć, trzeba jeść. Aby jeść, trzeba mieć pieniądze. Aby mieć

Biorąc powyższe pod uwagę poeta pracuje. Zwykła, jak inni. Z tym tylko, że do nagród, premii etc. — jest zawsze typowany jako ostatni. Bo przełożeni wiedzą, że Kowalski poeta, mówią więc: „co tam Kowalskiemu! On sobie zawsze coś dopisze”. A Kowalski, jeśli wrażliwym poetą jest, za nie się nikomu nie przyzna, że pisze właściwie — za darmo. Wyśmiałiby, wyszydzą. Ludzie dziś racjonalizmem przesieknięci, wartość największą w mamonie upatrują, bezinteresowne ideały nie trafiają im do przekonania.

ZADOWOLENIE

Młody poeta nigdy nie jest zadowolony. Wiele tu powodów. Pierwszy z nich — porównania. Widzi Kowalski, że Kapuścińska (Salomea) napisała dobry wiersz, lepszy o niebo, od tego, co on dotychczas zrobił. I Kowalskiego żre zazdrość. Patrzy Kowalski na to co napisał, patrzy — aż wreszcie drze kartkę, zaczyna od nowa. Powtarza się to wielokrotnie. Kowalski nie jest więc zadowolony, być nie może, bo wszak zadowolenie z siebie — to koniec drogi pisarstwa. Kowalski zna to, MUSI WIĘC BYĆ NIEZADOWOLENY, aby móc żywić przekonanie, że w końcu coś dobrego napisze.

Dobre wiersze rzadko powstają w jednej chwili, w jednym dniu. Wiele o tym każdy, kto cokolwiek liźnął pisanie. To żaden wstyd — do wielokrotnej redakcji wiersza przynajmniej się otwarcie Rózewicz — i coś ze stu innych poetów polskich. Rózewicz otwarcie stwierdza, że opraco-

Z tego, że ma w końcu wydrukowaną wiersz? To najczęściej świetna okazja do zabawnych nieporozumień. Ten i ów znajomy przeczyta, pogratuluje, pyta: „a skąd miałeś temat?” i szybko dodaje: „wiesz, ja to mam tematów pełne kieszenie. Postuchaj tylko! Młody poeta słucha więc, słucha — z grzeczności: wszak i jemu wyświadczone grzeczność, „interesując się” wydrukowanym wierszem. Wreszcie rozmówca kończy i stwierdza: „sam widzisz, że mam tego na kopy! Tylko pisać się nie chce, nie opłaca się”. Kowalski potwierdza i ucieka. Jest sfrustrowany, wprost unicestwiony. I z czego tu się cieszyć!

ADRES

Po co o tym wszystkim pisać? Dla kogo? Ano, mam swoich adresatów. Co tydzień czytuje dział odpowiedzi w pismach kulturalnych, owe „pocztę literackie”, „pegazy” i jak się to jeszcze nazywa. Co tydzień w „Widnokragu” wyjaśnia ktoś komuś, że niedobre, młodopolskie, że byki ortograficzne. I dziwnie się: skąd ten pęd w ludziach? Do czego? Do sławy, pieniędzy, zadowolenia? Do wyróżnienia się z szarego tłumu? Do zobaczenia swojego nazwiska w gazecie?

Zapewne, to wszystko razem wzięte. I jeden czynnik wiodący: ambicja, chęć zabłyśnięcia. A o to nie jest wcale tak łatwo.

Powtarzam i podkreślam — nie warto być młodym poetą... Zamiast starać się usilnie o przyjęcie do Klubu Młodych Pisarzy, lepiej zapisać się do Klubu Młodych Piłkarzy.